

**Jacek Koronacki**

## **Ameryka – zmęczone imperium w środku burzy światowej<sup>1</sup>**

Nie jest to tekst pisany przez historyka, lecz przez starszej już daty obserwatora. Zafascynowany fenomenem powstania i trwania Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej autor tego artykułu przygląda się od kilku dekad mocarstwu zza oceanu jako Polak, którego ambicją jest widzenie Ameryki taką, jaką ona jest, a nie jaka istnieje w idealizujących ją – albo zbyt łatwo potępiających – poglądach obiegowych.

Od początku XXI wieku było jasne, że rozpoczęły się dekady wielkich zmian w układzie sił na świecie. Trwały i szykowały się nowe konflikty regionalne, widać było, iż będą się zmieniać płynne porozumienia i powstawać konflikty między państwami dążącymi do kontrolowania danego regionu – Bliskiego Wschodu, Azji Południowej, czy Afryki. Niewykluczone są otwarte, zbrojne konflikty między USA a Chinami oraz Chinami i jego bliższymi oraz dalszymi sąsiadami. Od początku wieku jasne było, że o wpływy w państwach Międzymorza starają się Niemcy i Rosja oraz że Niemcy dążą do takiego porozumienia z Rosją, które zmieni polityczny kształt Europy. Obydwa te kraje stawiały na wyjście USA z Europy. Wydawało się oczywistością, że według Rosji nie tylko Białoruś, ale i Ukraina mają być częścią jej strefy buforowej i stanowić dla niej kordon sanitarny, ogradzający ją od państw zdaniem Kremla wrogich. Była na to zgoda Niemiec. Polsce Niemcy wyznaczyły rolę wasala – za zgodą i we współpracy z Rosją.

W drugiej dekadzie tego wieku Putin zaczął mówić o odbudowie rosyjskiego imperium – z trój-jedynym narodem rosyjskim, z Białorusinami i Ukraińcami. Wedle rosyjskiej myśli politycznej bowiem te części dawnych ziem ruskich (nie rosyjskich) nie mają prawa do odrębności narodowej i kulturalnej. 24 lutego br. Putin dokonał inwazji na Ukrainę i prowadzi tam zbrodniczą wojnę przeciw narodowi i państwu ukraińskiemu.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i Rosja, i Ukraina wyjdą z tej wojny zrujnowane, obydwie ekonomicznie, Ukraina w gruzach i rozpaczy po zabitych i zamordowanych, zgwałconych, zagłodzona, z milionami obywateli, których najeźdźca zmusił do ucieczki, wywiózł lub pozbawił miejsc zamieszkania. Ale też w końcu zostanie ustalony jakiś *modus vivendi* między Rosją i Zachodem, i oczywiście Chinami, podobny do dotychczasowego (tyle że np. z Niemcami pewniejszymi siebie w ich stosunkach z Rosją).

---

<sup>1</sup> Artykuł ukazał się w miesięczniku „WPIS” nr 4/2022 (138).

Rosja wyjdzie z wojny osłabiona, Europa Zachodnia zacznie wreszcie budować taką własną siłę zbrojną, na jaką ją stać. Głód w Afryce i innych ubogich regionach – będący kolejnym zbrodniczym skutkiem wojny wywołanej przez Rosję – zrodzi nową potężną falę migracji do Europy. W sytej zaś Europie dojdzie do wewnętrznych niepokojów społecznych spowodowanych kryzysem ekonomicznym. Nie trzeba dodawać, że wymienione kłopoty Europy będą Rosji na rękę. Wszystkie procesy zrodzone przez wojnę Putina nie zmieniają głównych kierunków zmian politycznych na świecie, jedynie je przyspieszą lub zmodyfikują. Jest inną sprawą, iż nie wyklucza to „punktowego” ataku rosyjskiego na Polskę, takiego, który nie zmuszałby NATO do włączenia się do wojny. I nie wyklucza większych kłopotów Polski w przyszłości.

Dlaczego piszę o dniu dzisiejszym polityki światowej, zwłaszcza Europy, skoro tematem tego artykułu jest imperium amerykańskie? Z tej prostej przyczyny, że Stany Zjednoczone są aktywnym i do dziś najpotężniejszym graczem w świecie polityki, i że pisać o ich polityce to tyle, co pisać o całym świecie. Ale żeby tę politykę lepiej zrozumieć, trzeba zacząć od paru uwag o historii USA.

Stany Zjednoczone, jeśli sądzić po deklaracjach amerykańskich polityków, są dziś ostoją, strażnikiem oraz – o czym ostatnio rzadziej się pisze i mówi – krzewicielem demokracji liberalnej. Co ta demokracja przyniosła samym Stanom, napiszę później.

Rzecz jasna nie dla kultuwowania niczym nieokiełznanej wolności jednostki – tak dziś jest pojmowany liberalizm – przybywali na kontynent północnoamerykański pierwsi i późniejsi imigranci z Europy. Najpierw przybywali, by posiadać jakąś ziemię, później, by znaleźć pracę i z czasem może założyć własne przedsiębiorstwo. Przybywali całymi rodzinami albo je tam zakładali, by żyć we wspólnotach łączących wiele rodzin, z których każda obejmowała dwa albo trzy pokolenia. Spoiwem ich wspólnot była religia. Pierwsi przybysze z Anglii byli purytanami albo prezbiterianami, później przybyli kwakrzy oraz anglikanie. Od początku zatem – już w okresie kolonialnym i jeszcze przed oderwaniem się kolonii od Korony brytyjskiej i utworzeniem Stanów Zjednoczonych – Amerykę charakteryzowała religijna niejednorodność, do tego często związana z ruchami odszczepieńczymi i radykalnymi, dla których nie było miejsca w Anglii i na Starym Kontynencie.

W XVII w. wśród kolonizatorów byli także, jakkolwiek w mniejszości, Niemcy i jeszcze mniej liczni Holendrzy oraz hugenoci z Francji, ale ton koloniom nadawały obyczaje brytyjskiej Korony. Przybyszom z Anglii i Szkocji przyświecały idee pozbycia się resztek

rzekomego papizmu wśród anglikanów. Purytanie, którzy dotarli do brzegów Nowej Anglii w latach 30. i 40. XVII w., wierzyli, że dzieło reformacji zapoczątkowane przez Lutera, Kościół anglikański i nawet przez Kalwina, nie zostało dokończzone. I jakkolwiek myśleli o powrocie do chrześcijaństwa pierwszych wieków, to w rzeczywistości tylko ożywiali ducha schizm ze Starego Kontynentu. Ruch odszczepieńczy (skupiony głównie na negacji dogmatu o Trójcy Świętej i sprzeciwie wobec Kościoła hierarchicznego) był w Nowym Świecie nieporównanie silniejszy niż na Wyspie czy na Kontynencie. Odszczepieńcy mieli tendencję do społecznego i politycznego radykalizmu. Kolonie były protestanckie, ale na swoje własne, różne w różnych koloniach sposoby. Katolicy początkowo byli bardzo nieliczni, nie mieli znaczenia, gdy zaś ich więcej przybyło w XIX w., stali się obywatelami drugiej kategorii.

Wspólna koloniom była zgoda na naturalne społeczne uwarstwienie. Elitę polityczną tworzyły rodziny, a nie regularne wybory na stanowiska publiczne. Co do zasady panował w koloniach duch republikański, któremu nie przeszkadzał ustrój monarchiczny i niezbyt dokuczliwe formalne panowanie nad koloniami namiestników Korony. W jej idealnym kształcie owa zasada powiadała, że punktem wyjścia w życiu społecznym jest dobro ogółu – inaczej niż w demokracji, w której punktem wyjścia jest dobro jednostki – oraz władza wykonywana przez reprezentację wyłonioną przez obywateli z odpowiednim cenzusem na podstawie szczególnych zasług i cnót najlepszych obywateli z tej warstwy.

Trzeba dodać, że ludność kolonii, zajęta dbaniem o własne interesy i kondycję materialną rodziny, nie była w XVIII w. przesadnie religijna, z moralnością bywała na bakier. W tym czasie jednak, począwszy od lat 1730., Ameryka doświadczyła tzw. Pierwszego Wielkiego Przebudzenia. Zaczęło się ono na południu w kolonii Georgia i na północnym wschodzie w Nowej Anglii, po czym rozlało się na wszystkie kolonie, wówczas w liczbie 13. Dało początek tzw. ewangelikalizmowi, o którym jeszcze dalej wspomnimy.

Zasygnalizowana tu złożona – choćby przez wielość wyznań wśród protestantów – religijna tożsamość Ameryki wywarła widoczny wpływ na dalsze losy państwa. Można rzec, że był to wpływ mający swoje źródło w tym, jak szerokie rzesze pojmowały nakazy moralne, którymi powinni kierować się obywatele i ich wspólnoty, aż po wspólnotę ogarniającą całe nowopowstające państwo.

Równie złożony, ale inny, był wpływ amerykańskiej elity. To na niej – ojciec założycielach, którzy formułowali Deklarację Niepodległości i potem Konstytucję, i na ich następcach we władzach państwowych spoczywał obowiązek ukształtowania ustroju i nawy państwowej. Znaczenie tej elity było ogromne. Wszak kolonie miały swoją historię; mogły

szczyć się tym, że były dziedzicami spuścizny brytyjskiej. Oto jednak wojną z Koroną wywalczyły sobie prawo do utworzenia państwa, którego wcześniej nie było. Obojętne czy scentralizowanego, czy federalnego.

Krótko mówiąc, Stany Zjednoczone były owocem rewolucji, chociaż należy zgodzić się z tymi historykami, którzy podkreślają, że rewolucja amerykańska była według kolonistów nie tyle rewolucją, co działaniem na rzecz zapobieżenia rewolucji, czyli na rzecz powrotu do wcześniej ustalonego i utrwalonego ładu politycznego. Była buntem przeciw królowi i parlamentowi, którzy według kolonistów dokonali zamachu na przywileje nadane im przez prawo i tradycję, przez starą konstytucję angielską.

Generalnie biorąc ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych – innymi słowy przywódcy ruchu na rzecz oderwania się kolonii od Korony – stanowili zbiorowość jak na owe czasy dobrze wykształconą. Po prawdzie nie zawsze mieli wyższe wykształcenie; nie miał go ani generał Jerzy Waszyngton, ani Benjamin Franklin. Najczęściej wówczas nadrabiali braki jako samoucy, byli czytani i wszyscy potrafili dołączyć do amerykańskiej warstwy wyższej – swego rodzaju „nowej” arystokracji, czyli posiadaczy choćby i małego majątku, uznawanych za tych, którzy stawiają dobro wspólnoty na pierwszym miejscu, gotowi są służyć krajowi przez całe życie oraz pielęgnują dobre obyczaje. Można rzec, że były to cechy charakterystyczne dla arystokracji z ducha republikańskiej. Najważniejsi z ojców założycieli często doskonale znali dorobek myśli politycznej Starego Kontynentu, od starożytnych Greków poprzez Rzym aż po czasy im współczesne. Oczywiście szczególną rolę przypisywali myśli angielskiej i szkockiej. Niezwykłej wagi cechą Konwencji Konstytucyjnej w 1787 r. było poszukiwanie rozwiązań praktycznych, czyli mających solidne podstawy teoretyczne, ale na ile to możliwe sprawdzonych w praktyce. Rozwiązań opartych na doświadczeniu innych narodów, zgodnych z lokalnym obyczajem i żywą w amerykańskich wspólnotach tradycją, słowem – mających największą szansę sprawdzenia się w praktyce życia państwa.

Ci najważniejsi byli doskonale świadomi prądów politycznych i intelektualnych, które rządziły czasem im współczesnym. Byli – można tak to ująć – ich częścią, bo też i jak mogłoby być inaczej? Na Koronę patrzyli szczególnie krytycznie, ponieważ byli jej poddanymi. Patrzyli na jej grzechy bardziej krytycznie niż inni członkowie elity amerykańskiej, którzy gotowi byli zachować lojalność wobec imperium. Jedni i drudzy mieli swoje racje. Ojcowie założyciele opowiadali się przeciw despotyzmowi Korony – bardziej formalnemu niż faktycznie dotykającemu kolonie. Reformatorska, by nie rzec postępową,

elita europejska była przeciwna idei i praktyce oświeconego absolutyzmu potęg europejskich, szukała nowych rozwiązań ustrojowych. Nad owymi nowymi rozwiązaniami pracę rozpoczęły loże masońskie (dogłębne studium tego procesu dał np. wybitny historyk niemiecki Reinhart Koselleck w książce „Krytyka i kryzys. Studium patogenezy świata mieszczańskiego”). Francja znalazła się na progu rewolucji. Nie należy się zatem dziwić, że wspomniani wybitni ojcowie założyciele – Franklin i cieszący się w Ameryce najwyższym autorytetem Waszyngton, zwany przez niektórych z racji swoich zasług ojcem narodu – byli masonami. Wśród uczestników Konwencji Konstytucyjnej było na pewno kilku masonów.

Nie sam fakt przystąpienia niektórych ojców założycieli do masonerii jest tu jednak ważny. Ci wybitni Amerykanie nie czynili tego, by służyć rozkazom mających stamtąd płynąć. Ważne są, niezależne od przynależenia albo nieprzynależenia do jakiegokolwiek loży masońskiej, własne idee ojców założycieli, które wcielali w życie tworząc Stany Zjednoczone Ameryki. Należy przy tym odnotować, że masoneria amerykańska była swego rodzaju odpryskiem angielskiej i nie miała nic wspólnego z francuską Lożą Wielkiego Wschodu. Nie była antychrześcijańska; w Anglii z racji historycznych była od początku antykatolicka. Przynależność oznaczała dla wielu dołączenie do „towarzystwa” i nic ponadto.<sup>2</sup>

Ojcowie założyciele byli częścią swojego czasu podobnie jak loże wolnomularskie powstające w Ameryce w 2. poł. XVIII w. jak grzyby po deszczu. A był to czas nie tylko krytyki – rzekomego albo faktycznego – despotyzmu oświeceniowych monarchii absolutnych i szukania nowych rozwiązań ustrojowych, ale także nowych idei: nowego sposobu rozumienia racjonalizmu, budowanego na idei autonomii rozumu ludzkiego, wyniesienia do roli dogmatu autonomii jednostki oraz nowego spojrzenia na tolerancję religijną.

Dla Wielkiego Wschodu Francji autonomia rozumu była bezwzględna – był on instancją najwyższą. Dla masonów amerykańskich była to idea pociągająca, ale nie musiała wykluczać poddania rozumu działaniu wiary i słuchania nauk płynących z Biblii. Jerzy Waszyngton był wiernym Kościoła anglikańskiego, co tydzień uczestniczył w nabożeństwie. W ujściu z życiem z pola bitewnego nad rzeką Monongahelą w 1755 r. widział zrzucenie

---

<sup>2</sup> Warto tu odnotować, że podczas gdy późniejszy Prezydent Waszyngton był biernym członkiem typowej dla Ameryki loży rytu szkockiego, to z Benjaminem Franklinem sprawa się miała inaczej. Franklin związał się z masonerią tego samego rytu i kilkakrotnie pełnił rolę wielkiego mistrza łóż wolnomularskich w Massachusetts i Pensylwanii. Będąc ambasadorem Stanów Zjednoczonych we Francji w latach 1776 – 1785 zaangażował się w tamtejsze spory ideowe i stał się liczącą się osobistością w środowisku francuskiej elity intelektualnej. Jego poglądy i działalność uczyniły go w latach 1779 – 1781 mistrzem prominentnej francuskiej loży Wielkiego Wschodu Francji o nazwie „Dziewięć siostr”. [Przypis dodany po ukazaniu się artykułu w miesięczniku „WPIS” – jk]

Opatrzności. Masonem był Daniel Carroll z Maryland, jeden z dwóch katolików biorących udział w Konwencji Konstytucyjnej w 1787 r., który szczerze wspierał swój Kościół.

Wolnomularze pod znaku Wielkiego Wschodu Francji nie mogli być chrześcijanami. Mogli być deistami uznającymi istnienie Istoty Najwyższej, ale nie Boga Osobowego. Istota Najwyższa świat stworzyła jako mechanizm działający wedle nadanych mu praw mechanicznych, dzięki którym świat i ludzkość trwają bez żadnego już boskiego na nie oddziaływania. Deizm był obecny także w wyższych sferach Ameryki XVIII wieku. Tak między innymi objawiały się w Ameryce idee Oświecenia. Wśród wybitnych ojców założycieli deistami byli mason Benjamin Franklin i nie będący masonem Thomas Jefferson.

Ameryce potrzebne było zatem Wielkie Przebudzenie – by odnowić w ludzie siłę chrześcijaństwa i zaprezentować ją elitom ulegającym naukom Oświecenia. W przededniu powstania Stanów Zjednoczonych obecność religii w życiu Amerykanów była wszechobejmująca. Delegaci na Konwencję Konstytucyjną byli w większości ortodoksyjnymi członkami swoich Kościołów. W pewnym momencie, gdy debata utknęła w martwym punkcie, Benjamin Franklin zaproponował Konwencji rozpoczynanie codziennych obrad modlitwą błagalną o Bożą pomoc. Gdy zaś Thomas Jefferson starał się o prezydenturę po Jerzym Waszyngtonie, postanowił ukryć swój deizm przed szeroką publicznością.

Wielkie Przebudzenie przynosiło ziarno, z którego miało wykiełkować jedno z wewnętrznych rozdarć Ameryki w wieku XX. Ziarnem tym był wspomniany ewangelikalizm. Osiemnastowieczni kaznodzieje ewangelikalizmu cieszyli się wielkim powodzeniem wśród kolonistów z dala od miast oraz w miastach wśród warstw biedniejszych. Podkreślali wagę bezpośredniego działania Boga na serce i umysł człowieka. Nawoływali do otwarcia się na to działanie oraz na radykalne nawrócenie. Po nawróceniu pozostawało już tylko moralne doskonalenie się. Musiało mieć ono nie tylko wymiar indywidualny, ale także społeczny. Ewangelikalizm gładko wpisał się w historię doktryn protestanckich w Ameryce i z końcem XIX w. większość amerykańskich protestantów była ewangelikalistami. Z właściwą prawdziwym chrześcijanom wrażliwością reagowali na grzechy społeczne obecne w Ameryce – np. fakt niewolnictwa. Ale proponowali programy utopijne, wyrastające z naiwnej wiary w możliwość wyeliminowania wszelkiego zła na tym świecie oraz zapanowania na ziemi Królestwa Bożego na tysiąc lat przed Sądem Ostatecznym (wiarę taką nazywamy millenaryzmem).

W amerykańskiej polityce zagranicznej zderzyły się tym sposobem w pewnym momencie dwa nurty – millenaryzmu oraz oświeceniowego kultu autonomicznego rozumu;

autonomia ta nabrała z czasem również w Ameryce charakteru bezwzględnej, nie ograniczonej żadną wyższą instancją. W okresie prezydentury Woodrowa Wilsona i bezpośrednio potem Stany Zjednoczone stały się państwem rozdartym między idealizmem pozbawionym rozsądku a politycznym realizmem wyciętym z wszelkich cnót i amoralnym. Realizm polityczny polega na kierowaniu się wyłącznie interesem państwa oraz dążeniem do zachowania możliwej w danej sytuacji równowagi sił między państwami, z nadzieją na stabilne trwanie tej równowagi.

Millenaryzm uwidocznił się z wielką siłą w polityce prezydenta Woodrowa Wilsona, głęboko wierzącego prezbiterianina i idealisty, który obietnicę wiecznego pokoju w Niebie chciał przenieść na ziemię. Wszedłszy do I wojny światowej po stronie ententy przeciw państwom centralnym (Niemcom i Austro-Węgrom), i odniósłszy zwycięstwo, miały USA „uczynić świat bezpiecznym dla demokracji”. Tak mówił prezydent Wilson 2 kwietnia 1917 r. prosząc amerykański Kongres o zgodę na wypowiedzenie wojny państwom centralnym. Mówił też, że Amerykanie nie chcą dzięki wojnie niczego zyskać, a „jedynie należą do czempionów praw ludzkości”. Mieli wywalczyć „ostateczny pokój dla świata i wyzwolenie ludzi” oraz prawo narodów, wielkich i małych, do samostanowienia, czyli dać „ludziom zewsząd przywilej swobodnego wyboru ich sposobu życia i posłuszeństwa [Bogu – przyp. JK]”. Prezydent Wilson wyznaczał Ameryce rolę Narodu-Zbawcy.

W listopadzie 1916 r. Wilson zapewne nie zostałby wybrany po raz drugi prezydentem, gdyby nie przyrzekł, że Stany Zjednoczone nie włączą się do wojny światowej. Nie chciała tego większość narodu i w owym czasie również sam prezydent Wilson. Co sprawiło, że w ciągu paru miesięcy zmienił zdanie? Między innymi millenarystyczna krucjata na rzecz światowego pokoju i demokracji. I to jeszcze, że na pogodzenie się społeczeństwa ze skierowaniem ich kraju na wojenne tory miał wpływ patriotyzm tego społeczeństwa oraz ewangelikalna wrażliwość jego części.

Kończąc wojnę traktat wersalski przyniósł nam II Rzeczpospolitą, ale według wielu – za sprawą przyjętych ustaleń – również zapowiedź II wojny światowej. Jako państwo w pełni suwerenne II Rzeczpospolita nie miała, według Zachodu, trwać długo. Tę zdradę Zachodu genialnie opisuje w wielu dziełach prof. Andrzej Nowak. Wilsonowskie Stany Zjednoczone – a był to ostatni rok prezydentury Woodrowa Wilsona – nie miały w sobie co prawda tej antypolskiej agresywności, która kierowała polityką Anglii, ale uznawały naszą obecność na wschód od tzw. linii Curzona za przejaw polskiego, nieodpowiedzialnego imperializmu.

Ameryka porzuciła następnie wilsonowską krucjatę demokratyczną i zwróciła się ku polityce realistycznej, która w tym momencie oznaczała chwilowy powrót do tzw. izolacjonizmu, który należy rozumieć elastycznie. Za jego źródło słusznie uznaje się doktrynę prezydenta Jamesa Monroe'a z 1823 r., faktycznie napisaną przez sekretarza stanu Johna Quincy'ego Adamsa. USA ostrzegały, iż każda interwencja mocarstw europejskich w Ameryce Północnej i Południowej może być uznana za akt wrogi wobec USA, ale jednocześnie zapewniały nieingerowanie Stanów Zjednoczonych w sprawy państw europejskich oraz ich istniejących wówczas kolonii.

Doktryna ta nie przeszkadzała Stanom zarówno w dalszym powiększaniu swojego terytorium na kontynencie północnoamerykańskim, w uaktywnieniu polityki wobec Azji – Chin i Japonii – w imię dobrze pojętych interesów handlowych USA, jak też w podjęciu wojny z Hiszpanią o Karaiby i Filipiny. Na przełomie XIX i XX w. Ameryka zaczęła mieć ambicje imperialne. Patrząc z tej perspektywy takie też znaczenie miały idee prezydenta Wilsona. Liga Narodów – do której powilsonowska Ameryka nie weszła – miała według Wilsona przynieść trwałą pokój na świecie i pozwolić narodom „samostanowić” o swoim losie, ale pod warunkiem słuchania głosu mocarstw, USA przede wszystkim.

Amerykańska droga do liberalnej demokracji była inna niż Europy. Najpierw rozkwitł wspomniany protestancki millenaryzm. Pod koniec XIX w. zapanował w USA tzw. wiek połączony (lata mniej więcej 1870–1900), który przyniósł bezprecedensowe związanie wielkiego biznesu i świata finansów ze światem polityki. Z kolei tzw. era postępową (lata mniej więcej 1890–1920) stworzyła doskonałe warunki do przyspieszenia państwowej centralizacji i etatyzacji, dążenia do państwowych regulacji na polu ekonomicznym, takich jednak, by nie zagrozić wielkiemu biznesowi. Postępowi ideologowie owego czasu zostawili za sobą amerykańskie odmiany protestantyzmu i od zarania XX w. rozwijali do perfekcji lewicową inżynierię społeczną. Należy zaznaczyć, że już sam protestantyzm w jego najważniejszych w Ameryce wersjach purytanizmu i prezbiterianizmu torował drogę modelowi państwa liberalnego (opisał to dogłębnie w licznych swych pracach prof. Jacek Bartyzel). Tak zaczęło być tworzone liberalne państwo opiekuńczo-wojenne, czyli jednocześnie opiekuńcze oraz budujące potężną siłą zbrojną, zdolną narzucić światu swoje rządy.

Jeśli mówić o izolacjonizmie w ujęciu zgodnym z doktryną Monroe'a, jego zwolennikami byli sami Amerykanie. Znany Instytut Gallupa, zajmujący się badaniem opinii publicznej, we wrześniu 1939 r. zapytał w ankiecie, czy armia amerykańska powinna włączyć



się do wojny przeciwko Niemcom w przypadku możliwej porażki Anglii i Francji. Za wysłaniem armii do Europy opowiedziało się 40% respondentów, 50% było przeciwnych. Gdy groza napaści Hitlera i Stalina na Polskę trochę spowszedniała, ankieta została powtórzona w październiku. Wtedy tylko 29% respondentów odpowiedziało „tak”, a 69% sprzeciwiło się udziałowi USA w wojnie. Założony rok później, 4 września 1940 r., Komitet Po Pierwsze Ameryka (*America First Committee*), którego celem było działanie na rzecz nieprzystąpienia Stanów Zjednoczonych do II wojny światowej, nie działał w społecznej próżni. Przeciwnie. Uległ rozwiązaniu zaraz po japońskim ataku na Pearl Harbor, ale to nie znaczyło, że większość Amerykanów chciała wysłania swoich żołnierzy do Europy.

Zapamiętajmy ten fakt, by nie oczekiwać od Ameryki zbyt wiele i by polegać na sobie, na swoim patriotyzmie i na swoich siłach zbrojnych. I by postarać się zrozumieć niechęć Amerykanów do włączenia się w wojnę na dalekim kontynencie, gdy im samym nic ze strony Niemców, o Sowietach nie wspominając, nie zagrażało. Była to dla nich wojna między dwoma wysłannikami szatana – Hitlerem i Stalinem. Ale gdy USA do wojny przeciw Niemcom przystąpiły, amerykański naród stał się jednością – rozbudowywał maszynę wojenną w kraju, wspierał swoich żołnierzy, którzy walczyli dzielnie na wielu frontach. W Europie Amerykanie obronili Zachód i dali zwycięstwo Sowietom. Zaś ich politycy zdradzili Polskę. W 1920 r. pierwsze antypolskie skrzypce grali Anglicy, w 1945 r. amerykański prezydent Franklin Delano Roosevelt.

Prezydent Roosevelt nie tylko był postępowcem z krwi i kości – jako episkopalianin, czyli amerykański anglikanin należał do jego postępowego odłamu. Tzw. Nowy Ład Roosevelta był programem dla państwa opiekuńczego z wszechwładną władzą centralną – widział w „wujaszku” Stalinie nieledwie przyjaciela. Wśród współpracowników i doradców Roosevelta znajdowali się byli (?) socjaliści i kryptokomuniści. Niech za przykład wystarczy jego zaufany doradca, Sidney Hillman, który przybył do USA z Rosji w 1911 r. jako mienszewik, natychmiast po przybyciu wstąpił do amerykańskiej Partii Socjalistycznej i wkrótce stanął na czele związku zawodowego pracowników przemysłu odzieżowego. Tym łatwiej więc przystawał Roosevelt na aż nazbyt korzystne dla Sowietów rozwiązania, których można było nie przyjąć.

W oczach amerykańskich realistów politycznych Polska nie miała szans. Zachód nie mógł wygrać wojny z Niemcami bez pomocy Sowietów, a to musiało kosztować, zwłaszcza Polskę oraz państwa na wschód i północ od niej. Stwierdzał to np. wybitny realista polityczny George Kennan, twórca amerykańskiej doktryny powstrzymania, przyjętej przez USA w 1947

r., której celem było powstrzymanie rozszerzania się wpływów ZSRS na świecie. Opiniotwórcze, ale pozbawione wpływów politycznych środowisko konserwatystów, tradycyjnie lokujące się wśród izolacjonistów, uznało tę doktrynę za słuszną, mimo że nie wykluczała ona wojen lokalnych z dala od kraju – w Korei czy Wietnamie. Uważali, że izolacjonizm nie jest odpowiedzią na zagrożenie stwarzane przez komunizm. Bezpośrednio po 1945 r. niektórzy z nich optowali nawet za wojną z ZSRS i krytykowali koncepcję jedynie „powstrzymania” Sowietów.

W 1975 r. w kręgu realistów powstała tzw. doktryna Sonnenfeldta, który był blisko związany z samym Henrym Kissingerem, od lat 1970. najważniejszym z nich wszystkich. Nie znamy tekstu tego dokumentu – był poufny i przedstawiony na konferencji ambasadorów USA w państwach europejskich. Bez wątpienia postulował jednak wspieranie „świętego” spokoju w krajach zdominowanych przez Związek Sowiecki, wspieranie akceptacji tamtejszych społeczeństw dla tego, na co im sowiecki pan w owym czasie pozwalał.

Do rozpadu ZSRS walenie przyczynił się prezydent Ronald Reagan – człowiek konserwatywnych poglądów.

Triumf „Solidarności” w 1989 r. – zapomniany przez świat, który do symbolu wyniósł późniejszy upadek muru berlińskiego, jako że Polska nigdy nie miała w USA dobrej prasy – nie przyniósł jej tyle, ile może powinien. Amerykanie woleli oprzeć się w Polsce na centro-lewicy i postkomunistach, niż na nieznanym im resztkach intelektualnej centro-prawicy i prawicy (ten polityczny wybór USA dotyczył również innych państw byłego RWPG). I, co najważniejsze, Amerykanie, tradycyjnie nieufni wobec Europy Środkowo-Wschodniej, nie chcieli wzmocnić tych krajów jako jednego dużego i w przyszłości znaczącego podmiotu gospodarczego.

Niedługo po zniknięciu z mapy Związku Sowieckiego, amerykańska polityka zagraniczna popadła w głęboki kryzys. W latach 1980. tamtejszą sceną polityczną zawładnęli tzw. neokonserwatyści. Neokonserwatywne *credo* to, najkrócej mówiąc, pochwała demokracji liberalnej z misją jej szerzenia na całym świecie. Neokonserwatyści uznali, że nadszedł czas „zycziwej hegemonii” USA nad światem i że należy tę hegemonię utrwalić. Ich celem pierwszym stała się przebudowa Bliskiego Wschodu, zresztą środkami wojennymi. Najbardziej wpływowy z neokonserwatystów, Norman Podhoretz, mówił w kontekście tej przebudowy o IV wojnie światowej (trzecią miała być – taką nomenklaturę stosował inny ważny neokonserwatysta, Eliot Cohen – zimna wojna zakończona rozpadem Związku Sowieckiego).

11 września 2001 r. w wyniku napadu terrorystycznego doszło do zniszczenia World Trade Center. Dzień później, inny wpływowy neokonserwatysta William Bennett powiedział w programie telewizyjnej sieci CNN, że Kongres musi ogłosić wojnę przeciw wojownicemu islamowi i użyć do tego potężnej amerykańskiej siły militarnej. Bennett wymienił jako cel ataku na Bliskim Wschodzie Liban, Libię, Syrię, Irak oraz Iran.

20 marca 2003 r., za sprawą neokonserwatystów, rozpoczęła się inwazja na Irak. Tak rozpoczęła się przebudowa Bliskiego Wschodu zakończona – skądinąd jak najbardziej potrzebnym – opuszczeniem w 2021 r. Afganistanu po inwazji dokonanej 20 lat wcześniej. Przyniosła hańbę Ameryce, destabilizację regionu oraz nie mniej niż 266 tys. zabitych Irakijczyków i 168 tys. Afgańczyków. A nie były to wszystkie amerykańskie wojny w tym dwudziestolecu.

Polityczni realiści sprzeciwiali się uleganiu utopii „życziwej hegemonii”, ale byli ignorowani. Ewentualne zamiary zapanowania przez Amerykę nad większością złóż ropy naftowej oraz powstrzymania nadchodzącej cichej inwazji islamu na wymierający Zachód należało na pewno realizować inaczej. Pierwszą przyczyną upokarzającej przegranej polityki USA było poddanie się przez polityczny establishment iluzji amerykańskiej wszechmocy. Iluzja ta była podsycana ideologią „demokratycznej krucjaty” oraz tragiczną w skutkach nieznaną kultur innych ludów. Miała też źródło... religijne w syjonizmie chrześcijan, wyrastającym z ewangelikalizmu i protestanckiego fundamentalizmu. Prezydent Bush junior był reprezentantem tego utopijnego nurtu myśli protestanckiej, którego marzeniem jest zaprowadzenie raju na ziemi, a który w tym czasie utożsamiano z demokracją liberalną. Polityka bliskowschodnia neokonserwatystów, czyli polityka administracji amerykańskiej, odpowiadała Izraelowi i z tego tytułu cieszyła się dużym poparciem wśród tych szerokich rzesz republikańskich wyborców, którzy byli chrześcijańskimi syjonistami. Tym mianowicie, co łączy ewangelikalistów, którzy nie są religijnymi fundamentalistami, oraz protestanckich fundamentalistów jest dosłowne odczytywanie słów Pisma Świętego. Kiedy Biblia mówi o zapanowaniu Izraela na ziemi, katolik rozumie przez Izrael cały lud Boży, zaś wspomniani protestanci uważają, że mowa jest wyłącznie o Izraelczykach, i stąd ich obowiązkiem jest sprzyjanie izraelskiemu państwu. Taki chrześcijański syjonizm stracił dzisiaj na znaczeniu, ale jeszcze dwie dekady temu dobrze był widoczny w Ameryce.

Ameryka znalazła się w bardzo głębokim kryzysie społecznym. Znakiem rozpoznawczym tego kryzysu było zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 2016 r. politycznego outsidera – Donalda Trumpa. Hasłem, które wyniosło go do prezydentury i które

mogło przynieść mu drugą kadencję przewodzenia amerykańskiemu imperium, było *Make America Great Again* („Uczyńmy Amerykę na powrót wspaniałą”, w domyśle, „dla nas, Amerykanów”).

Ale jeśli spojrzeć głębiej, to Donalda Trumpa wyniosło do prezydentury inne hasło, logicznie z nim związane i jaśniejsze w swej treści, które on też często powtarzał na spotkaniach z wyborcami: *The American Dream is dead* („Amerykańskie marzenie umarło”). Umarło bowiem marzenie, które powodowało dawnymi pokoleniami, szukającymi w Ameryce właściwego jej i niepowtarzalnego „amerykańskiego stylu życia” – godziwego życia w wolności, równości i możliwości zasłużonego społecznego awansu. To marzenie umierało wraz z rosnącym poczuciem wyobcowania we własnym kraju, utratą pracy lub materialnego bezpieczeństwa, rozkładem lokalnych wspólnot i biorącym się stąd moralnym upadkiem zbyt szerokiego segmentu społeczeństwa. A że marzenia łatwo nie umierają, chodzi tu o proces, który trwał całe pokolenia. Jego fundamentem był mit demokracji liberalnej, a w rzeczywistości budowa imperium, którym rządzi oligarchia, w jej zamyśle panująca nad całym światem, a będąca już dziś właścicielem ogromnej części światowego majątku.

W ciągu ostatnich dekad społeczeństwo amerykańskie uległo rozpadowi jakby na dwa kraje. Jeden zagłosował w 2020 r. na Donalda Trumpa, a drugi na Joe Bidena. Żaden z nich nie byłby prezydentem USA, gdyby Ameryka nie znalazła się w tak głębokim kryzysie społecznym jak obecnie. Na kryzys ten nakłada się kryzys instytucjonalny, m.in. z niewydolnym Kongresem, ale ten aspekt problemów Ameryki pomińmy.

Wychodzenie (miejmy nadzieję, że wychodzenie) USA z wymienionych kryzysów potrwa dekadę albo dwie. Dziś natomiast w aspekcie polityki międzynarodowej Ameryka, z konieczności zajęta sobą, wróci zapewne do politycznego realizmu. Przypomnijmy, że realiści byli kiedyś przeciwni przyjęciu do NATO Polski, Węgier i Czech; potem się z tym faktem pogodzili, ale jeszcze mocniej sprzeciwiali się włączeniu do sojuszu kolejnych krajów. W przyszłości zapewne, nie wiemy kiedy, doprowadzą do likwidacji NATO. Obecnie zaś, o ile okaże się to możliwe, dążyć będą do odtworzenia układów politycznych sprzed wojny w Ukrainie, z zachowaniem Rosji w roli podobnej do odgrywanej przez nią przed inwazją. Nie dlatego, że nie zdają sobie sprawy, jakie są fundamenty cywilizacyjne Rosji i jakim pozostanie ona zagrożeniem dla jej bliższych i dalszych sąsiadów, ale dlatego, że widzą dla niej takie właśnie miejsce w geopolitycznej układance.

Warszawa, 12 kwietnia 2022